Ner 1. Kraków, dnia 1go Stycznia 1871. Rok III.

# WŁOŚCIANIN.

## Pismo dla ludu.

Prenumerata wynosi: rocznie 4 złr. 60 c., półrocznie 2 złr. 30 c., kwartalnie 1 złr. 15 c. — Wychodzi co Sobota. — Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 cent. na stempel.

Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

407 III




L. 1470
D.

Do
Szanownéj redakcyi pisma ludowego „Włościanin“
w Krakowie.

*Szanowna redakcya podała do wysokiéj Rady szkolnéj prośbę o polecenie téj publikacyi nauczycielom szkół ludowych w kraju.*

*Gdy tendencya pisma tego według osnowy wzmiankowanego podania jest chwalebną, a oświadczenie redakcyi, iż je w granicach legalnych rozwijać zamierza, uznania godne, przeto Wysoka Rada szkolna krajowa dając jéj żądane poparcie, zamieści je w spisie dzieł polecanych, i między nauczycieli ludowych rozsełanych.*

*O czém Szanowną redakcyę w skutek reskryptu Wysokiéj Rady szkolnéj z d. 28 Listopada rb L. 8020 R. S. k. zawiadamiam.*

*Kraków dnia 22 Grudnia 1870.*

*C. k. Delegat Namiestnika*

***Bobowski.***

## ŻYCZLIWE RADY KAZIMIRZA GÓRALCZYKA.

Łaska Boska jest nieskończona, owoż Bóg da, że do tego przyjdzie, tylko z czasem, tylko z cierpliwością i dobrą chęcią, iż włościanie będą w dobrém mieniu i oświéceni należycie.

Nieraz pisałem Wam, że w niemieckich krainach, gdzie jest wszędzie rozszérzona oświata, lud wiejski ma się bardzo dobrze, że ma piętrowe domy, piękne sprzęty, jakich nie znajdzie u nas i u bogatszych mieszczan, mocne konie i śliczne bydełko; gościńce tam od wsi do wsi kamieniem wysypane, a po obu stronach zaopatrzone rowami i wysadzone owocowemi drzewami, a nikt ich nie psuje, nie rusza, ani owocu nie zrywa, a gdy tę owoce sprzedadzą, to pieniądze zebrane idą na pożytek gromady; synowie włościańscy jedni osiadają na roli ojcowskiéj, a drudzy zostają lékarzami, urzędnikami, adwokatami, profesorami, księżmi, kupcami i fabrykantami.

Dlaczegóżby u nas tak być nie mogło, albożto nie mamy téj zdatności do wszystkiego, albożto nas Pan Bóg upośledził na duszy i ciele i nie dał rozumu i pojęcia jak niemieckim włościanom? Oj, nie szczędził Bóg wszechmocny swych darów słowiańskim plemionom i dał ich obficie, zkądże więc to pochodzi, że u nas tak nie jest? Oto ztąd, że Niemcy już daleko dawniéj znieśli u siebie pańszczyznę, że tam mieli już czas otrząsnąć się z biédy, a u nas się dopiéro to otrząsanie zaczyna, że tam trzeźwość zapuściła między ludem korzenie, a u nas przeklęta gorzałka po dawnemu broi, że tam oddawna już po wszystkich wioskach są szkoły, i wszyscy pod karą muszą swoje dzieci do szkół posyłać, a u nas niedawno zaczęto myśleć o rozpowszechnianiu nauki.

Kiedy więc mamy ku temu sposobność, nie zaniedbujmy jéj jak owi goście ewangieliczni

zaproszeni na ucztę, którzy się na czas nie ubrali i potém ich nie przyjęto; ale garnijmy się do nauki, pracy i trzeźwości ze wszystkich sił i nie dajmy się wyprzedzić żadnemu narodowi.

Niech próżniactwo, ciemnota i pijaństwo raz będą wyplewione z pośród nas, jak nieużyteczny chwast z ogrodu, a niechaj zakwitnie pomyślność i szczęście.

A najprzód, bądźcie pobożnymi i bogobojnymi, szanujcie świętą religiję i wypełniajcie przykazania Boże, nie powierzchownie, ale całém sercem waszém. Rozpoczynajcie każdą pracę waszą z Bogiem i kończcie ją z Bogiem, albowiem wam wtenczas błogosławić będzie. Bądźcie posłusznymi przełożonym waszym, bo bez tego nie ma porządku na świecie.

Powtóre. Żyjcie z żonami waszemi w miłości i zgodzie! Mężowie pamiętajcie, że żony to wasze najlepsze przyjaciółki, matki waszych dziatek, że nieraz życiem opłacają ich przyjście na świat, wy zaś żony pamiętajcie na to, że mąż przez całe życie pracuje ciężko, aby wam i dzieciom kawałek chleba zapewnić; że mu za to trzeba płacić dobrém sercem, a nie swarami i zwadą.

Po trzecie. Wychowujcie dziatki wasze po chrześcijańsku, nie obchodźcie wesel i chrzcin tygodniowemi hulankami, niszczącemi wasz dobytek, ani nie chrzcijcie dziatek wódką, zamiast wodą zbawienia, uczcie ich pacierza i uszanowania dla starszych, dawajcie dobry przykład, posyłajcie do szkółek, zamiast puszczać samopas za bydłem, żeby zdziczały a na próżniaków wyrosły, nie prowadźcie dziatek do karczem, do tych piekielnych przedsionków, gdzie wszystkie nieszczęścia włościańskie mają swój początek; nie przeklinajcie dziatek waszych ani za lada co nie katujcie, ale karając po rodzicielsku starajcie się o to, żeby na użytecznych ludzi wyrosły. Pamiętajcie, że jesteście Bogu odpowiedzialni za ich duszę i ciało; a jak je wychowacie, takiemi będą, bo jakie ziarno wrzucisz do ziemi, taki plon wyda.

Po czwarte. Starajcie się wszelkiemi siłami o polepszenie bytu. Niechaj ten domek wasz własny będzie utrzymany czysto, porządnie. Gnojownicę odsuńcie od niego w tył, na oborę, gdzie żadne okno nie wychodzi, bo z gnojówki szczególnie w lecie, bucha śmiertelna zaraza i różne choroby rodzi; niechaj pod oknami waszemi będą kwiatki, aby z nich świeże powietrze szło do izby, aby posłużyły do ozdobienia ołtarza, obrazów świętych, a wreszcie własnéj izby. Starajcie się przy każdym domu mieć sad, w nim drzewa owocowe, bo z nich wielki pożytek; utrzymanie nic nie kosztuje a pieniądze przynoszą. Kto może, niech chowa pszczoły; miejcie w ogródku kapustę, marchew, buraki, rzepę, brukiew, bo im więcéj tego będzie, tém milsze pożywienie, a wielka obrona od głodu. Niech izby będą w środku wybielone, bo człowiek nie trzoda, żeby w gnoju siedział. Okna do otwiérania, żeby powietrze zdrowe wchodziło. Bydła i ptactwa nie trzymajcie w izbach, bo z tego tylko nieczystość i choroby.

Uprawiajcie też ziemię starannie, nawozcie ją dobrze, bo dobry nawóz jest jakby omasta dla waszych pól, obsiéwajcie je dobrem ziarnem i pielęgnujcie tę ziemię, jako waszą najlepszą przyjaciółkę a żywicielkę.

(Dokończenie nastąpi).

## RZĄDY OPATRZNOŚCI.

*Przez Józefa z Bochni.*

Cicho było w chatkach, cicho w każdéj wiosce
I ludzie ochoczo pracowali w polu,
Żaden z nich nie marzył o nędzy i trosce,
Żaden w blizkim czasie nie przeczuwał bólu.
Lecz wkrótce do biédnych jakby gromy burzy
Złowrogie nadchodzą o Tatarach wieści.
— Tatarzy już blizko! — każdy z trwogą wtórzy —
Uciekać co żywo! chować co się zmieści!...
Powstał popłoch wielki i rozpaczne krzyki;
Starcy na kolanach wznoszą żal do Boga,
Aby ich domostwa minął Tatar dziki,
By ich nie spotkała niewola tak sroga.
Lecz już niedaleko ognistemi słupy
Goreją wioseczki, jęk dzwonów się szerzy;
Ludzie z trwogi strasznéj pobledli jak trupy —
Z rozczochranym włosem w jedynéj odzieży
Pędzą cwałem w lasy opuszczając chatki,
By ocalić życie, gdy stracą dostatki.

Ziemia drży w posadzie — wśród pisków, kurzawy
Pędzi dzika tłuszcza, ognistemi szlaki
Znaczy polską ziemię; robi taniec krwawy
Wbijając zabranyh na dzidy ostrzone;
Nie miękczy się bolem tych, co do kulbaki
Przypięła, unosząc w nieznajomą stronę,
Na srozsze męczarnie do ciężkiej niewoli,
By już swojskiéj nigdy nie widzieli roli.
I mknie coraz daléj i robi cmentarze,
Bo krwią się niewinnych jeszcze nie najadła;
Mało dostarczyli dobytków nędzarze —
Aż na miasto Przemyśl niebawem napadła.
Już walą się mury, ognie w okół płoną,
Słychać płacz niewowląt i jęki niewieście,
Wrzask rannych, co miastu chcieli być obroną —
O straszny był widok naonczas na mieście!...
— Kto Bogu zaufał, niech spiesznie ucieka,



W ruskiéj cerkwi pewne bezpieczeństwo czeka!
Ciśnie się lud tłumem i cerkiew zalega;
Wszystkim z piersi w niebo modlitwa wybiega:
— O ratuj nas, Panie, nie karz Twoich dzieci!
Zapomnij, o Panie, ojców przewinienia,
My Cię przebłagamy — oto głos nasz leci!...
I wtém powstał zamęt, krzyki i jęczenia;
Tatarzyn do cerkwi groźnie się dobywa,
Zabija, morduje i w jassyr porywa.
Krew ciecze strumieniem, trup za trupem pada,
Morderca się srożéj na widok rozjada,
Nie zważa na dzieci, starców i kobiety —
W świątyni tak krwawe wyprawia bankiety.
A na przedzie ludu mszcząc się swego grodu
Walczy Małachowski jak niegdyś za młodu,
Jednakże Tatarzyn okrutniéj nalega,
Przebija dowódzcę; wtém Gieréj nadbiega —
Żywcem mi go dostać! — nagle wrzaśnie mściwy,
Ale Małachowski nie był wówczas żywy.

Niebawem dzicz pierzchła — silna dłoń obrońców
Wyparła ją z miasta, lecz w mieście ruiny;
Za wiele spustoszeń z wszystkich widać końców:
Tu walą się domy, tam sterczą kominy;
Przekleństwem i płaczem ludność klęski koi:
Jedni omdlewają z męczenia i głodu,
Nie mając już na czém złożyć głowy swojéj —
Inni bez rodziców zmarnieją za młodu....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# Na morzu.

Kiedy w roku 1831 Polacy po dziesięciu blizko miesiącach wojny przeciwko Moskwie, weszli jedni do Prus, drudzy do Austryi, wielka ich liczba wolała iść do Francyi, opuszczając swoje majątki, swoje żony i dzieci, aniżeli zdać się na łaskę césarza moskiewskiego. Mówili oni sobie: Pójdźmy do Francyi, wszakże ona jest nam dłużna za ową krew, którą nasi ojcowie i my przelali walcząc za nich w Hiszpanii, we Włoszech pod Dąbrowskim, w Moskwie pod księciem Józefem Poniatowskim, może nas Francyja wspomoże, ona taka potężna. Będziemy wołać, uskarżać się przed światem całym, jakie nam krzywdy wyrządzają Moskale, jako to: zagrabili nam ojczyznę, prześladują każdego kto tylko śmie przyznać się że jest Polakiem, pędzą na Sybir, do więzień wtrącają, nieprzepuszczą ni starcom, ni kobiétom, ni nawet dzieciom.

Ciągnęli nasi wychodżcy do Francyi na wozach, pieszo, jak kto mógł, pocieszając się nadzieją. Pomiędzy nimi był Walenty Karp, dzielny młodzieniec, który postanowił puścić się jeszcze daléj w świat do Ameryki. Smutno mu było oddalać się coraz więcéj od ukochanéj ziemi ojczystéj, ale pocieszał się, że Amerykanie znają Polaków i kochają ich; bo za wolność Amerykan bił się Tadeusz Kościuszko i dzielny Kazimirz Puławski, konfederat barski i poległ w bitwie pod Sawanach w Ameryce.

W Marsylii, mieście we Francyi nad samém morzém leżącem, wsiadł p. Walenty na okręt, i tak sam jeden Polak między cudzoziemcami puścił się w świat, na szérokie morze. Już blizko dwadzieścia dni okręt płynął pośród ogromnego oceanu, gdzie tylko okiem rzucił, wszędzie woda. Na morzu jadąc zdaje się że niebo w wodę zapada do koła. Kiedy pogoda sprzyja, okręt płynie spokojnie, ale strach, gdy się burza zerwie. Choć okręt tak wielki jak potężny gmach, przecież woda nim rzuca, jakby deszczułką. Karp w podróży miał ciągłą pogodę, siedział najczęściéj na pokładzie, lub chodząc myślał o Polsce, o ziomkach, o rodzinie. Było bardzo smutno Polakowi w oddaleniu od swoich między obcymi, ani słówka nie słyszał polskiego, łzy mu często stały w oczach i rzekł w niebo patrząc:

— O kiedyż cię ujrzę ojczyzno moja!

W tém słyszy w oddaleniu piosenkę polską, co ją wszyscy u nas znają:—Wanda leży w naszéj ziemi.

Zdziwiony i ucieszony, że spotkał rodaka, biegnie do majtka, co jak pająk w pajęczynie wisiał na samym wierzchołku masztu, pomiędzy różnemi sznurami i żaglami. Gdy się majtek zsunął na pokład, zaczął Karp mówić do niego po polsku, i dowiedział się, że ów majtek był rodem z Polski, że po wojnach z Napoleonem wszedł do służby morskiéj u Holendrów. Miléj odtąd i weseléj było Karpiowi,bo miał towarzysza, a Bogu był wdzięczny za tak niespodziane spotkanie ziomka.

O, moi kochani! Obyście tego nigdy nie doznali, jak to smutno jest samemu Polakowi na ziemi obcéj! Wtedy gdy spotka rodaka, to tak mu się ucieszy, jak ojciec znalezionemu dziecku. Jakże mile wtenczas brzmi dla niego mowa polska, jakżeby jéj wciąż słuchał, jakże pragnie przynajmniéj raz jeszcze oglądać ziemię swoją, choćby raz przed śmiercią; jakże pragnie choćby tylko kości swe złożyć w ziemi ojczystéj, by się nie poniewierały między obcymi. O, wtedy człowiek uczuje, jak drogą jest ojczyzna!

*Ewaryst Estkowski.*

# Dziwne spotkanie.

O cztéry mile od Bochni, gdzie to zdawien dawna sól kopią, leży niewielkie miasteczko, które się zwie Wojnicz. Duży już kęs czasu, gdy w tém miasteczku mieszkał krawiec jeden, co się zwał Szymon Kaleta. Miał ci on żonę bardzo dobrą, pracowitą i pilną, on téż nie zasypiał gruszek w popiele, pracował ustawicznie, toć téż przy Boskiéj pomocy dobytek w niezgorszym był stanie. Lecz Pan Bóg po niedługiém pożyciu zabrał mu tę pociechę do siebie, Szymon musiał się ożenić z drugą, bo chociaż nie miał dzieci, nie chciał zaniedbać gospodarstwa. Ale któż z nas grzészników przewidzi wyroki Boskie! Szymon z drugiéj żony doczekał się czworga dzieci, żona jakoś była słabowita, to téż biédaczyna musiał w dwójnasób pracować, aby uczciwie utrzymać swoją rodzinę. Jednakże i jemu nie wiedzieć czy za jakie przewinienia z lat młodocianych, czy téż za jakie grzéchy, odmówił Pan Bóg zdrowia; Szymon często żalił się na kłucie w piersiach, ale co najgorsza, tak sobie osłabił wzrok, że mało co mógł robić, a żona nie mogła mu pomódz, bo prawie zawsze leżała w łóżku. Szymon kazał sprzedawać co się tylko dało i przecie za Boską pomocą żona wyzdrowiała, a Szymon coraz bardziéj się rozniemógł. Mówi tedy Szymon do swojéj żony:

— Wiész co, moja kochana! my już na psy zejdziemy, gdy się nie weźniemy duchem do jakiego innego zatrudnienia. Oto sprzedajmy jeszcze co mamy; ty nakup rozmaitych rzeczy, sprzedawaj na mieście jako przekupka, a nie wstydź się niczego, bo tonący brzytwy się chwyta.

Zrazu nie chciała się żona dać namówić, wstydziła się takiego rzemiosła, chociaż źle robiła, bo kto poczciwie pracuje, żadnym stanem się nie splami. Dopiéro gdy się przekonała dokumentnie, że z biédą nie ma przelewek, zrobiła tak jak mąż radził i jakoś z początku wiodło się im dosyć dobrze, i Szymonowi lżéj było na sercu; ale z nieszczęściem nie ma żartów, jak się uczepi, to cię tak skubie i skubie aż cię na piękne dogryzie. Biédnemu Szymonowi, który ciągle siedział w domu albo najczęściéj kawęczał w łóżku, zmarł najstarszy chłopiec, za nim zabrał Pan Bóg średnią dziewczynę, późniéj znowu starszą, tak że się tylko został najmłodszy chłopiec Franuś. To wszystko stało się we dwóch miesiącach. Szymon nie miał sił do zniesienia takiego nieszczęścia, tak się tém gryzł i męczył, że dostał pomieszania zmysłów, rzucał się, krzyczał i tłukł wszystkie sprzęty, aż jednego dnia w takim stanie obłąkania pochwycił nóż wielki i poderznął sobie gardło. Tak zakończył biédne życie nieszczęśliwy Szymon. Została się sama żona i mały Franuś.

Płakała strapiona żona, płakał Franuś, ale łzy i jęki na nic się nie przydały bo to była już taka wola Boża. Szymonowa sprzedała mały domek na pogrzeb męża i swoje potrzeby, a i dług z tego oddać musiała, co się na pogrzeby dzieci zapożyczyła; mieszkała odtąd komornem i sprzedawała na mieście, ale cóż z tego, kiedy zarobek był mały, i wszystko prawie przejadała z synem Franusiem, chociaż i tak bardzo mizernie żyli.

Przyszedlszy Szymonowa wieczorem do domu, usiadła na stołku i długo, długo płakała, potém klękała przy swojém łożu, załamywała ręce i mówiła:

— Boże! ja nie mam nic do sprzedania, a gdy sprzedam wszystko, przejem z dzieckiem i cóż wtedy pocznę biédna kobiéta? Udziel mi Twojéj łaski przenajświętszéj, popraw mi moje życie. a nieraz w rozpaczy dodawała: albo mnie albo moje dziecko weż do siebie, bo mnie przychodzi do zawrotu głowy!...

Słyszał to wszystko Franuś, co leżał w łóżku, bo nakrywszy się pierzyną, udawał że śpi, a bokiem słuchał co matka mówiła. Nieraz rozpłakał się biédak, bo bardzo czułe miał serce. Rozmyślał nad sobą i w takiém zmartwieniu zasypiał na piękne. Jednego dnia wstał Franuś cokolwiek później, patrzy po izbie, nie ma nikogo, ukląkł więc przed obrazem świętego Michała, zmówił paciérz, zjadł trochę barszczu, co był w garnuszku na cyganku, a potem mówi do siebie:

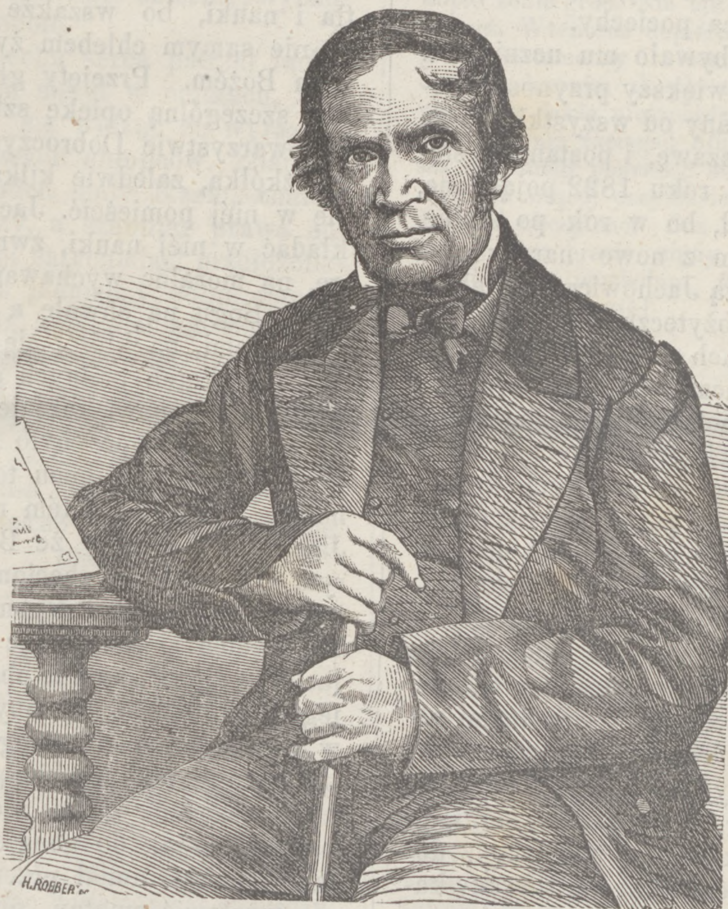
— Ja nie mogę dłużéj znosić takich lamentów matki, ja muszę pójść do ludzi, a gdy mię nie przyjmą, to pójdę do lasu, tam mię albo wilki zjedzą albo umrę z głodu. Na co ja mam siedzieć matce na karku; ona się może o mnie tak martwi, a ludzie mię może przecie wezmą, bo się zlitują nademną, gdy im nie powiem zkąd ja jestem i jak się mój ojciec nazywał?..

I jak sobie rozmyślał, tak i zrobił. Wziął na siebie surducik, nie poszedł do matki, jeno tyłem domu wysunął się przez ogród i nie za długo był już za miastem. Spojrzał jeszcze raz żałosném okiem na te małe domki, na te pola, na których się bawił, uronił kilka łez czystych, przeżegnał się pięknie i szedł daléj. Szedł dro-

gą, która przez wsi prowadzi do Bochni. Minął jedną wieś i drugą, przeszedł i miasto Bochnię, potém i inne wsi, ale go nikt nie zaczepił, nikt się go nie spytał, co on za jeden, to téż biédny unikał ludzi i zaszedł do wiśnickiego lasu, co to leży o pół mili od Bochni, usiadł sobie na trawniku, aby wypocząć co nieco, potém się położył i ze zmęczenia zasnął. Obudził się nareszcie patrzy jeszcze widno, bo myślał, że to ten sam dzień tak długi, w którym wyszedł z Wojnicza, a to było już rano. Chce daléj ruszyć w drogę, lecz o tém ani myśleć. Na nogach pełno wzdymek i odcisków, kolana się zginać nie chcą, głód okropny dokuczać zaczyna, więc Franuś w płacz okrutny, aż się serce krajało. Już to widać z dopuszczenia Boskiego był na ówczas gajowy w lesie, usłyszał za krzakami rzewne stękanie, zbliża się w to miejsce i widzi chłopca małego jak się przewraca po ziemi i jęczy boleśnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# Stanisław Jachowicz.



Niedawno Warszawa miała takiego wybranego człowieka, co z zapomnieniem o sobie żył tylko miłością bliźniego, a lubo sam niezamożny i prawie ubogi, rozdawał ubóstwu więcéj, niż najpiérwszy z bogaczów, gdyż serce jego bogate było w miłość i święte chęci. Tym człowiekiem był Stanisław Jachowicz. Wszyscy w Warszawie pamiętają go dobrze i błogosławią imię jego. Błogosławią je ubodzy, bo pamiętał o ich potrzebach, karmił ich w głodzie, pocieszał w cierpieniu, uczył i wychowywał ich dziatwę; pamiętają go bogaci, bo ich nieraz własnym przykładem do dobrego przyciągnął, lub tkliwém słowem skłonił do miłosierdzia, a przez to napełnił ich serca najsłodszą pociechą. Wy jednak, wieśniacy, możeście o nim nie wiele słyszeli, chociaż on kochał was serdecznie, gorąco pragnął szczęścia i światła waszego, i nie jedną waszą sierótkę przygarnął do serca. Posłuchajcie więc co wam opowiem o Jachowiczu i radujcie się w duszy, że taki człowiek żył nie darmo pomiędzy nami, gdyż zasługa sprawiedliwego i miłosiernego człowieka spływa nie tylko na miejsce, gdzie się urodził, żył i umarł, ale spływa na cały naród i ściąga mu błogosławieństwo Boże.

Stanisław Jachowicz urodził się 17 kwietnia 1799 roku we wsi Dzikowie nad Wisłą. Ojciec Stanisława, człowiek zacny ale niezamożny, odumarł go w dzieciństwie, sama więc matka zajmowała się jego wychowaniem. Dobry, cichy i potulny od małego Stanisław, nie przyczyniał kłopotu biédnéj matce, ale był najmilszą pociechą jéj serca. Kiedy podrósł cokolwiek, oddany do szkół w mieście Rzeszowie, uczył się pilnie i sprawował wzorowo. Dalsze pobiérał nauki w Stanisławowie, gdzie niegdyś uczył się i Karpiński, nakoniec zaś nauk akademickich słuchał we Lwowie. Przykładał się jak mógł do pracy, bo nie odziedziczywszy majątku, wiedział że nauką musi sobie zarobić na kawałek chleba, a jeszcze więcéj wiodło go do pracy to przekonanie, że każdy kto żyje na świecie pracować musi, czy tu pługiem, czy piórem, czy w inny sposób, byle tylko nie marnował w próżniactwie darów Bożych. Kiedy zakończył nauki, przemyślał więc na jakiéj drodze potrafi lepiéj zasłużyć się krajowi; i po rozważnym namyśle, poznał, że mą

wyraźne powołanie do uczenia i wychowywania dziatek. Postanowił też zostać nauczycielem, i odtąd przedsiewziął ten zamiar, przywiązał się do niego całém sercem i myślał tylko, jakby się z niego najlepiéj wywiązać.

W roku 1818 przybył Jachowicz do Warszawy, gdzie pomimo lat młodych dał się od razu poznać jako doskonały nauczyciel młodzieży. Bóg mu dał szczególny dar uczenia; mowa jego słodka jasna i prosta, wnikała od razu do pojęcia dziatek. Rozmyślał on bez ustanku nad tém jakby uczynić naukę przyjemną i niemozolną, pragnął koniecznie, aby dziatki nie uczyły się tylko z powinności i zmusu, ale żeby pokochały naukę i tęskniły za nią, jakoż doznał wkrótce téj miłéj dla serca pociechy.

Coraz to więcéj przybywało mu uczniów, a nauczanie jego co raz to większy przynosiło pożytek. Kochany i szanowany od wszystkich, sam téż polubił szczérze Warszawę, i postanowił stale się w niéj osiedlić. W roku 1822 pojął żonę, lecz nie długo się cieszył, bo w rok po ślubie, Bóg mu ją zabrał, razem z nowo narodzonym synem. Dotknięty ta stratą Jachowicz, szukał jedynéj osłody w pracy pożytecznéj dla drugich, a szczególniéj w uczynkach miłosierdzia. Straciwszy własną rodzinę, uczuł, że cały kraj jest jego rodziną, wszystkie polskie dzieci, jego dzieci. Sam osiérony od dzieciństwa, wiedział czém jest siéroctwo, szczególną téż miłością, kochał biédne dziatki, którym Bóg pozabiérał rodziców. Niedługo téż potém miał sposobność uczynić więcéj dla ich dobra, kiedy Towarzystwo Dobroczynności zaprosiło go na członka swego.

Kilkanaście miłosiernych osób, widząc tyle nieszczęśliwych rodzin bez przytułku i chleba, postanowiło złączyć się razem i wspólnemi siłami zaradzać ogólnéj potrzebie. Bogatsze z pomiędzy tych osób darowały na ten cel znaczne sumy pieniężne, mniéj bogaci zbiérali składki, to chodząc po domach, to kwestując w kościele, dosyć, że w krótkim czasie zebrał się znaczny kapitał, który wystarczył na kupienie domu i urządzenie w nim przytułku dla starców i siérot. Coroczne kwesty przymnażały pieniędzy potrzebnych na utrzymanie tego pięknego zakładu nazwanego: Towarzystwo Dobroczynności. Do owego to towarzystwa zapraszano na członków, albo osoby zamożne, które mogły same wiele świadczyć, albo też mniéj bogate, lecz pełne miłości bliźniego, które nie żałowały trudu, i umiały pobudzić bogatszych do miłosierdzia. Poznawszy z téj strony Jachowicza, towarzystwo Dobroczynności obrało go swym członkiem. Było to w rok po ciężkich klęskach, jakie Bóg dopuścił na Polskę, po wojnie i po cholerze, wiele też było wówczas nieszczęśliwych rodzin bez chleba, wiele było biédnych siérot bez rodziców i bez przytułku. Jachowicz zajął się cała duszą pełnieniem nowych obowiązków, jakie przyjął na siebie. W miarę jak się bliżéj począł przyglądać ludzkiéj nędzy, serce jego z natury dobre i kochające, coraz to bardziéj otwiérało się dla biédnych, i śmiało powiedzieć można że odtąd nie było ani jednéj chwilki w jego życiu, w któréjby nie myślał, jakimby sposobem ulżyć powszechnéj niedoli.

Jako człowiek oświécony wiedział on dobrze, iż ubodzy prócz chleba łakną jeszcze światła i nauki, bo wszakże Chrystus powiedział: że nie samym chlebem żyje człowiek, ale i słowem Bożém. Przejęty głęboko tą myślą wziął pod szczególną opiekę szkółkę siérót urządzoną w towarzystwie Dobroczynności. Maleńka to była szkółka, zaledwie kilkanaście dziatek mogło się w niéj pomieścić. Jachowicz zaczął sam wykładać w niéj nauki, zwracając szczególną uwagę, na moralne wychawanie dziateczek, aby wyrosły Bogu na chwałę a na pożytek bliźniemu, i téj ziemi, na któréj się zrodziły.

W skutek usilnych starań, wynalazł nowe fundusze na powiększenie szkółki; jakoż niedługo potém, tyle przybyło siérot, że już pomieścić się nie mogły w domu towarzystwa Dobroczynności. Dziwnie się tém radowało serce zacnego Jachowicza, a ufny że Bóg pobłogosławi szczérym i poczciwym chęciom, umyślił zebrać potrzebne piéniądze i wybudować oddzielny dom dla swoich siérot. Będąc raz wieczorem u przyjaciół wyjawił myśl tę obecnym: jeden z uczniów jego mały Józio, wydobył dwa złote i złożył je w ręce nauczyciela swego. Odtąd spotykano go bezustanku jak przebiegał ulice Warszawy; kołatał wszędzie, gdzie mógł, zarówno do pałacu bogaczów, jak do ubogiéj izdebki wyrobnika, i wszędzie tak umiał przemówić do serc, tak dzielnie wystawić smutny obraz nędzy ludzkiéj, że na głos jego serca miękły i każdy składał w ręce jego jałmużnę na jaką go stało; chociażby grosz na jedną cegiełkę. Tym sposobem Jachowicz zebrał 80000 złotych.

W owym czasie w r. 1839 Warszawa poniosła ciężką klęskę, z powodu wielkiego wylewu Wisły. Woda zabrała chudobę nie jednego biédaka, a wielu z ubogich dworków położonych w niższéj części miasta, nie pozostało ani śladu. Towarzystwo Dobroczynności, zajęło się natychmiast zbieraniem składek, dla nieszczęśliwych

Nadwiślan: a że poczciwi Warszawianie, gotowi zawsze pośpieszyć z pomocą bliźniemu, te składki tak cudownie wzrastały że z nich w krótce urosły ogromne sumy. Z tych to pieniędzy zgodnie z życzeniem samychże Nadwiślan dołączono 36000 złotych na składkę Jachowicza. Jakaż to była dla niego radość, kiedy mógł rozpocząć jéj budowę! Stanął też niedługo na Nowym Świecie dom dwu piętrowy o cztérech oknach z porządnym podwórzem. W domu tym umieszczono około siedmdziesiąt chłopców, tyleż dziéwcząt pozostało w gmachu Towarzystwa Dobroczynności. Na dole zaś w nowym domu urządzono ochronkę dla małych dziateczek, gdzie pod pilnym dozorem przeznaczonych na to osób, matki mogły zostawiać maleńkie dzieciny, wychodząc na całodzienną robotę.

Z prawdziwą pociechą serca patrzał Jachowicz na postępy swoich siérot w naukach. Bardziéj jeszcze radował się widząc że wyrastają na sumiennych i uczciwych chłopców. Zdarzyło się raz, że jeden z nich mały Kazio, znalazł znaczną kwotę pieniędzy, a szanując prawa cudzéj własności, oddał ją natychmiast przełożonemu. Właściciel onych pieniędzy odbiérając je przeznaczył nagrodę dla znalazcy; ale poczciwy Kazio przyjąć nie chciał mówiąc: że spełnił tylko powinność. Kiedy jednak właściciel nalegał koniecznie na Kazia aby przyjął nagrodę, dobry chłopczyk oddał ją na korzyść szkółki. Słodka była to pociecha dla Jachowicza, bo widział, że praca jego piękne już owoce wydaje.

(Dokończenie nastąpi).

## Kasy oszczędności.

Raz zeszedł się Wach z Jankiem i taką wiedli rozmowę:

— Niejeden człowiek porządny i gospodarny — mówił Wach — przychodzi do ubóstwa dla tego, że kupił rolę lub dom nie mając dostatecznych pieniędzy. Oj wielka to wada! Gdy pan kupi wieś bez pieniędzy, kmieć gospodarstwo a mieszczanin kamienicę, to bądź pewien, że straci i to, co kupił i to, co miał. Ale to niejeden tak sobie myśli jak ty, że się powoli wypłaci, a tu się najczęściéj zawiedzie. Gdy masz mniejsze gospodarstwo bez długów, a przytém jeszcze nieco grosiwa, możesz podwoić swoje dochody, bo pieniądze stósownie włożone w jakie gospodarstwo, nie giną, ale przynoszą zysk i mogą się wkrótce powrócić. Lecz zwykle tak bywa, że gospodarz, gdy ma oszczędzonych kilka groszy, skoro zdarzy się mu sposobność, kupuje więcéj roli, kupuje bez namysłu, osobliwie wtenczas, gdy mu pieniędzy kto dopożyczy, albo, gdy niepotrzeba naraz zapłacić wszystkiego. Teraz trzeba nakładu na zagospodarowanie. Kup więcéj koni, wołów, krów, kup pług, wóz, radło, brony, a na to wszystko znów pożycz i płać za to wielkie nieraz pieniądze. Niech teraz przyjdą nieszczęśliwe lata, o co wcale nie trudno, niech przyjdzie susza, ulewa, grady, nieurodzaje, niech bydło wypadnie, a zkąd opłacić podatki? zkąd opędzić potrzeby? zkąd nabyć bydło?... Gdyby nie był dokupował więcéj roli, miałby grosz oszczędzony, a nie miałby długów, toby był sobie łatwo poradził. Teraz czeka go oczywista zguba. Długi rosną jakby na drożdżach i zjedzą i role dokupione i całe jego dawniejsze gospodarstwo, a pan gospodarz, który chciał mieć więcéj, wyjdzie o kiju żebraczym dla tego, że dokupił roli bez dostatecznych pieniędzy. A biada, kto się wda z żydami i bierze pieniądze na weksel. Oj te nieszczęsne weksle już niejednego zabiły! Weksel rośnie, gospodarstwo upada a gospodarz kopie sobie grób. Nie tak sobie postępuje oględny gospodarz. Wtenczas dopiéro buduje lub kupuje, gdy ma grosz dostateczny i zostanie na zagospodarowanie, inaczéj nie kupuje. A gdy taki roztropny gospodarz popadnie w jakie nieszczęście, to sprzeda nawet i kawał roli, aby nie zaciągać długów i mieć jeszcze tyle grosza, aby mógł poprawić swe uszczuplone gospodarstwo, a to mu więcéj przyniesie niż gospodarstwo wielkie a długami obciążone. Bez dostatecznych pieniędzy nie kupuj więc bracie nigdy ani roli, ani domu, ani nie buduj, bo ci powiadam, że kto kupuje bez pieniędzy, biédę sobie kupuje!

(Dokończenie nastąpi).

## Co słychać w świecie?

Oj źle słychać, moi mili! Wojna trwa sobie bez ustanku mimo zimy i kto wié jak długo ciągnąć się będzie? Nie skończy się ona w każdym razie tak prędko, albowiem Francuzi nie darują krzywd doznanych. Wojska tak pruskie jak i francuzkie rozprószyły się w wielu częściach Francyi. Bitwy bywają większe i mniejsze, a niektóre trwają i dzień cały. Jednakże Francuzi kropią Prusaków, że aż miło! Choć stracą trochę żołnierza, nadchodzą im świeże posiłki, boć Francuzi bardzo poświęcają się dla swojéj ojczyzny. Prusacy skarżą się sami na swe położenie i przyznają się do wielkich nieszczęść. Donoszą z obozu, że im daléj posuwają się w głąb Francyi, tém dla nich okropniéj i niebezpieczniéj. Starcy i kobiéty, młodzieńcy i dzieci mieszczanie i chłopi — wszystko to pod bronią, broni się i walczy za Francyję, którą kocha bez granic. Najwięcéj jednak, jak piszą Prusacy, dokuczają im tak zwani franktirerzy czyli wolni strzelcy, złożeni prawie z samych włościan. Franktirerzy nie mają żadnych oznak, nie mają odmiennego ubioru, a każdy z nich ma strzelbę ukrytą, któréj dobywa dopiéro wtedy, gdy tego potrzeba. Prusacy lękają się każdego drzewa, słupa, figury nawet, bo nie są pewni — czy tam nie ma wolnego strzelca. Franktirerzy napadają na mniejsze oddziały Prusaków, niszczą je i zabiérają żywność, gdy ją mają ze sobą. Bitwy bywają okrutne. Giną całe puł-

ki, toć też tysiące naraz ginie ludzi i trupami zaście-lają się pola. Nieraz nie ma czasu pochować ich choćby jako tako. Ale bo też Prusacy sami sobie winni; sami obudzili taką zawziętość w każdym Francuzie. Barba-rzyństwa ich są tego przyczyną. Palą całe wsie i za-bijają ludzi. Np. raz w jednym tygodniu spalili 15 wsi. Raz przyszedłszy do jednéj wsi, znaleźli pod nią za-bitego oficera pruskiego. Zwołują tedy ludzi do ko-ścioła i nakazują, by wybrali trzech męczczyzn z po-śród siebie, których zastrzelą. Nastąpiła straszna chwi-la. Mógł wypaść wyrok na ojców rodzin. Wychodzi tedy z koła trzech młodych Francuzów i jednogłośnie odzywają się, że nie mają nic do stracenia, gotowi więc przyjąć wyrok śmierci. Tak się stało i wszystkich trzech rozstrzelano. W innéj wsi zabito księdza, że nie pozwolił zamienić kościoła na stajnię. Okropne rze-czy! Przed świętami przez kilka dni przesyłano nieu-stannie z Prus proch, kule i ciężkie działa do Francyi. Na tysiącu przeszło czterokonnych wozów prowadzono do Paryża pociski, mające służyć do dział olbrzymich. Mówią, że po świętach ma to być na miejscu, a po nowym roku ma nastąpić bombardowanie Paryża. Po-syłają tam młodych 17 letnich ludzi, a nawet w pode-szłym wieku, to jest takich, którzy noszą medale z 1848 roku. Ze wszystkich twierdz posyłają wojsko, widać więc z tego, jak dobrze idzie sprawa we Francyi. A do króla Wilhelma przybywają deputacyje z adresami z powodu mającego nastąpić ogłoszenia się césarzem niemieckim. Bywają tam obiady, koncerta i teatra, a wojna jest sobie wojną.

W Paryżu i zewnątrz Paryża znajduje się 450,000 do 550,000 żołnierzy, którym stawić mają czoło nie-mieckie wojska jako bezpośredniéj nieprzyjacielskiéj sile czynnéj. W tych walkach atoli idzie na korzyść Francuzów cały szereg okoliczności, które ich w po-myślném położeniu stawiają w porównaniu do nieprzy-jaciół. Przed Paryżem są niemi wzmocnione rzeczywi-ście do najwyższego stopnia obrony, fortyfikacyje tego miasta i posiadanie wewnętrznéj linii, która im dozwala koncentrować siły swe prawie niepostrzenie przed nie-przyjacielem i uderzyć podług upodobania z główną częścią sił na który bądź punkt obszernéj, niemieckiéj linii osaczającéj. W polu natomiast dozwala im posia-dać liczne, z punktu centralnego Paryża wychodzące linije kolei żelaznych, nie mniéj występować raz tu, drugi raz tam przeważnemi siłami, podczas kiedy ich przeciwnicy w obec tych zaczepnych uderzeń skazani są prawie wyłącznie na marsze piesze. Do tego dodać jeszcze należy dla francuzkich armij polowych rozszé-rzoną komunikacyję telegraficzną, łatwość wyżywienia z części kraju w tyle będących i pomoc, jaką znaj-dują w mieszkańcach w najwyższym stopniu rozdraż-nionych. Jeszcze nigdy zatém nie dano armii trudniej-szego zadania, jak obecnie niemieckiéj.

Wyrachowano do d. 19 grudnia, że ze strony prus-kiéj zginęło 200.000, z francuzkiéj 250.000 ludzi nie wliczając w to w niewoli będących. Gdyby tedy w wiel-kiém przecięciu utrzymanie życia kosztowało rodzinę 1000 złr. rocznie, pozbawiono 135.000 rodzin utrzyma-nia, a więc zrobiono 675.000 żebraków. A w liczając w to i inne szkody narodowe, twierdzą, iż szkoda do-chodzi do dziewięciu tysięcy milijonów.

Piszą z Wersalu d. 28 grudnia, że położenie Pru-saków jest bardzo opłakane. Nawet w wiliję Bożego Narodzenia i w święto po tym dniu przypadające były okropne bitwy, pomimo słów: Pokój wszystkim ludziom dobréj woli. Francuzów przybywa do armii jak grzy-bów, i nie pytają, że Prusacy przywożą działa ogromne, do których jeden nabój kosztuje 800 talarów, a utrzy-manie jednego takiego działa więcej kzsztuje jak rocz-ne utrzymanie regimentu całego piechoty. Nawet za-konnicy spieszą w szereg. Z jednego klasztoru 23 tra-pistów opuściło cele i chwyciło za broń, by walczyć za kochaną Francyję. Dziwią się żołnierze, że zakon-nicy odznaczają się wytrzymaniem trudów i nieustra-szoną dzielnością i odwagą. Nie może zginąć naród, który ma tak szlachetnych obrońców!

O wojnie między Turcyją a Moskwą nic jeszcze nie słychać pewnego. Boże, zachowaj nas od okrut-nych wojen!

## ROZMAITOŚCI.

† W listopadzie b. r. zmarł w Królestwie pol-skiém, w powiecie kieleckim Wiktor hr. Komorowski, dziedzic dóbr Nieszkowa, Słaboszewa, Wymysłowa i Kropidła. W testamencie zapisał 66.000 złotych pol-skich na zapomogę dla biédnych chłopków swoich wiosek. Z tych pieniędzy ma być wybudowany ogro-mny śpichlerz i kupione zboże, a w czasie — czego Boże niedopuść! — przednowku lub moru, każdy mo-że ztamtąd czy to wypożyczyć, czy to, jeżeli nie mo-że oddać, wziąć zapomogę. Oprócz tego z procentów od tych pieniędzy ma być utrzymywany lékarz i za-kupywane lékarstwa dla chorych w tych wioskach. Roz-porządził daléj nieboszczyk, aby dawać nagrody tym chłopkom, którzy wzorowo i mądrze gospodarują, pię-knie i podług nauki hodują bydło i pszczoły, pielęgnu-ją drzewa owocowe, słowem, którzy się w gospodar-stwie odznaczają nauką i pracowitością. Na ostatku po-lecił, by trzej gospodarze, którzy już daléj pracować nie mogą, otrzymywali wsparcie na starość. Cześć pię-knéj jego pamięci!

* Gospodarz wiejski, jeźli porządny a dbały, aptécz-kę domową miéć powinien a w aptéczce niewymyśl-ne, domowe, ale środki pewne. I tak n. p. zdarzy się często, że ktoś u ciebie zagorzeje w zimie. Wiedzże, że czad węglowy niczém nie jest innem jak wodo-rodem zmięszanym ze siarką. Miejże chloranu co-kolwiek we flaszeczce, odetkaj a daj powąchać zago-rzałemu a wnet powróci do życia.

Zachoruje ci kto lub ty sam po obiedzie w kilka godzin nagle na rznięcie w żołądku a gryzienie wiel-kie, nie pytaj o przyczynę, ale idź cichaczem do ku-chni i przypatrz się rądlom, w których jeżeli pobiela-nie już złazi — o, nie pytaj wiele, ale daj zaraz cho-remu rozrobionego mydła białego z wodą, niech wy-pije; poczém dawaj oliwę po łyżce a cichaczem poślij do aptéki receptę następującą:

Rpc. Liquoris kali carbonici Unc: Semis. Olei amygdalorum dulcium, Unciam, Unam semisq. — Aque font. Uncias, decem — Syrupi emulsivi, Unc: unam. M. d. e. s. — Co półgodziny po jednéj łyżce stołowéj zażywać. — A gdy wyzdrowiejesz, dbaj lepiéj o na-czynie!

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.